

*Adam Schwarz-Czarnowski*

## PAMIĘTAM DAWNE ZŁOCKIE

### Lata dwudzieste, lata trzydzieste

Mrok czasu pokrył już tamte, beztroskie dla muzyńskich letników, lata. Z grupą gości wyruszałem z muzyńskiego Rynku ulicą Nowy Świat (obecnie: Antoniego Kity) na dłuższy spacer do wsi Złockie. Mijaliśmy stary, pamiętający czasy biskupów krakowskich zajazd (dziś Muzeum Regionalne), przekraczaliśmy most na Muszyncy i za Basztą skręciliśmy w prawo. Wyboista, pełna kurzu lub błota droga prowadziła na Za-zamcze. W dni jarmarków, od wczesnego rana, turkotały na niej i skrzypiały liczne, wyładowane, ciągnięte przez konie lub krowy, fury. Gęgały na nich gęsi, beczały barany, kwiczały świny. Niosła się specyficzna woń zwierząt, grzybów, potu i niedomytych ciał. Z podgórszych wiosek jechali ku Muszynie Łemkowie, a także szli - w kapeluszach i guniach, podpierając się „pałyciami”. Dreptały Łemkinie w chustach, obfitych spódnicach i haftowanych serdakach, dźwigały kobiałki i koszyki. Wędrowali boso, rzadziej w kierpcach, a co bogatsi, dopiero przed miastem, owijali nogi szmatami i wciągali buciory.

Ale ja, wraz z towarzystwem, dążyłem w przeciwnym kierunku. Obserwowaliśmy, jak naprawiano drogę. W wyboiste miejsca sypano po prostu potłuczone kamienie pobrane z potoku; tłukli je mozolnie, młotami, Cyganie mieszkający na Złockiem, obok Łemków. Zwykle w świąteczne dni często pojawiała się w Muszynie orkiestra cygańska, która wygrywała letnikom smętno-ogniste czardasze, a także modne szlagiery. Niejednej miejskiej pannie „wpadł pod serce”, smagły i przystojny cygański brunet o dużych, czarnych oczach.

Za budynkami Zazamcza mijaliśmy młyn poruszany bystrą wodą Szczawnika. Na wzgórzu ukazywała się cerkiewka, a poniżej, w dwóch dolinach, rozciągała się ku północy wieś Złockie. Był to już inny świat, świat owych Łemków, zwanych też Rusnaka-mi, który zadziwiał miejskich gości swoistą egzotyką. Wśród błotnistych i cuchnących podwórek przycupnęły stare śpichlerki i kurne chałupy, zbudowane z drewnianych bali, łączonych na zrąb. W poczerniałych, pełnych zaduchu wnętrzach domostw, snuł się dym, gdakały kury, muczały cielęta; mieszkali tu wraz z inwentarzem ludzie o zaczerwienionych oczach i kołtuniastych włosach, w których roilo się od insektów. Przybysze z miasta nie byli chętnie widziani, a zdarzało się, że traktowano ich wrogo. Bywało nawet, gdy zapuszczałem się tam czasem z gromadką młodzieży, że leciały na nas kamienie ciskane przez tamtejszych rówieśników. Zawsze zaś kłopotliwą „pamiątką” z pobytu w Złockiem były liczne pchły i nie tylko.

Miejscy goście obowiązkowo szli do źródelka wody mineralnej, zwanej „kwaśną wodą”, i próbowali orzeźwiającego jej smaku. Podobne wody znajdowały się tu w nie

jednej studni, a także spływały z nurtami potoków. Potem odwiedzano cerkiewkę na wzgórzu. Jakież to był kontrast z wsią: nierealna niemal, zielona oaza spokoju. Pod starymi lipami, w których brzęczały roje pszczoł, w głębokim fotelu, siedział na pół drzemiący, brodaty ksiądz greckokatolicki. Gdy usłyszał nadchodzących ludzi, uśmiechnął się i zaprosił do zwiedzenia cerkiewki. Niespiesznie mijaliśmy bramkę w kamiennym murku i ksiądz wielkim kluczem otwierał wejście. Do dziś głęboko zapadły mi w pamięć: mroczne, wypełnione zapachem kadzideł wnętrze, ławy i feretrony, a nade wszystko barwny, rzeźbiony ikonostas - wraz z niepowtarzalnym nastrojem dziewiętnastowiecznej, drewnianej budowli.

Gdy wróciliśmy w cień lip, były tam już zydle i stół, a na nim bochen chleba i miska miodu. Przy poczęstunku potoczyła się nadspodziewanie miła pogawarka. Głęboki bas księdza sugestywnie ukazywał nam trudne problemy trwania małej, łemkowskiej wioski i jej duchowego gospodarza, który utrwał wiare opartą na obrządku wschodnim. Ksiądz opowiadał też o niewyobrażalnym dla nas, pełnym prymitywu życiu Złockiego i sąsiednich, zagubionych w górach: Jastrzębika i Szczawnika, a także Milika, gdzie niedawno, w latach trzydziestych, wprowadzono prawosławie.

Czas było podziękować za gościnę i z głowami pełnymi niezwykłych wrażeń powrócić do tej „innej i swojej” Muszyny.

Księdza na Złockiem odwiedzaliśmy wielokrotnie, ale były też dalsze wyprawy. Jechaliśmy furkami do Jastrzębika i Szczawnika, aby obejrzeć tamtejsze zabytkowe cerkiewki. (Obecnie we wszystkich mieszczą się kościoły rzymskokatolickie).

Dalej nikt jednak z wygodnickich gości już się nie zapuszczał. Ciągnęły się tam dzikie mateczniki Jaworzyny i Kotylniczego Wierchu, porznięte rozłogami szumiących potoków, gdzie gospodarzyły dziki, borsuki, sarny i jelenie. Zaglądali w te kąty tylko leśnicy i nieliczni, żądni przygód turyści. W późniejszych latach wytyczono tam dla nich znakowane szlaki.

### **Pod hasłem produkcji**

Minęły lata wojny. Łemkowie musieli opuścić muszyńskie okolice. Nie było też Cyganów. W wiejskich domostwach pojawili się inni ludzie. Zaczynał się „nowy porządek”.

Zawirowania powojenne sprawiły, że dopiero w 1950 roku przyjechałem do Muszyny. Witałem znajome z dawna kąty. Na Zazamczu, koło „Bukowianki” i „Uroczej”, spotkałem grupę młodzieży z kolonii Sekcji Naftowej w Gorlicach. Opowiadali, że chodzą na Złockie, gdzie są stawy rybne, pomagają w pracach tamtejszej Spółdzielni Produkcyjnej, na roli, a także przy melioracji pól oraz regulacji potoku.

Tak się jednak złożyło, że dopiero w końcu lipca 1953 roku dotarłem na Złockie i mogłem zobaczyć, co się tam dzieje. U stóp wzgórz, na których widniała cerkiewka, szumiały łąny zboża. Wkrótce nastąpił czas żniw. Pracowały snopowiązałki zaprzężone w konie. Ludzie uwijali się w pocie czoła, można powiedzieć, że robota paliła się im w rękach, panował pełen zapału nastrój. Uwidaczniał się przy tym, tak eksponowany ówczasnie, etos pracy. Snopy liczone i ustawiano w charakterystyczne kopy, nakrywa

jąc słomianymi czapami. Poznałem przewodniczącego Spółdzielni Piotra Lubiaka oraz kilku pracowników, np. Jana Fedorcza, Tomasza Jarzabka, Jana Barana, Jakuba Kotusia, Stanisława Sajdaka, Julię Urbanową i innych.

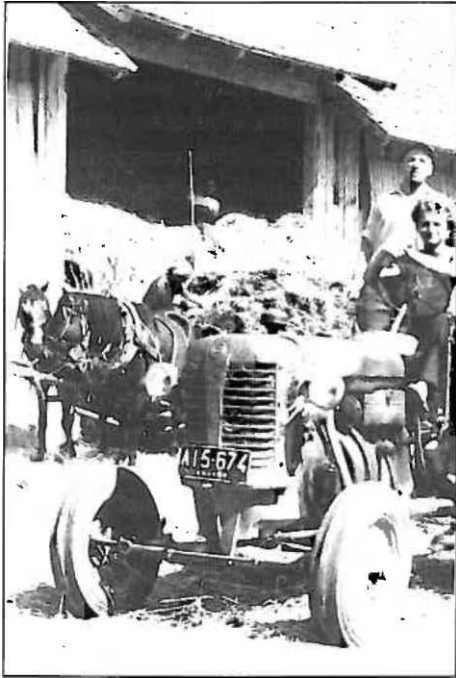


Żniwa w Spółdzielni Produkcyjnej Złockie (fot. Adam Czarnowski, 1953 r.)

Były to trzecie z kolei żniwa tej Spółdzielni. Zebrano około 30% więcej ziarna, jak w roku ubiegłym, tj. po 21 q żyta i po 14 q pszenicy z hektara. Członkowie Spółdzielni podjęli zobowiązanie ponadplanowej i przedterminowej dostawy zbóż.

Gdy spółdzielcy pracowali na polach, ich dzieci z opiekunką bawiły się nad potokiem, pluskały się w wodzie i śpiewały.

Za jakiś czas, po wyschnięciu zbóż, przystąpiono do omłotów. Później sterty słomy zwożono traktorem oraz końmi do starej, dziś już nieistniejącej, stodoły na Majerzu w Muszynie. Następnie zaczęły się przygotowania do dostawy ziarna, które trzeba było odstawić do punktu skupu w Nowym Sączu. Widziałem, jak z autentycznym entuzjazmem odbywały się te działania, jak dekorowano samochody dostawcze, umieszczano szturmówki i transparenty; ze śpiewem, przy wtórze harmonii, ruszano na trasę.



Nowy ciągnik na Złockiem (fot. Adam Czarnowski, 1953 r.)

Tymczasem w prasie pojawiały się parokrotnie informacje o pracach wyróżniającej się Spółdzielni Złockie, na przykład, że żniwa idą pełną parą a następnie, że Spółdzielnia przekazała państwu 120% obowiązkowych dostaw. A w „Gazecie Krakowskiej” z dnia 21 sierpnia 1953 roku, w obszernym tekście na pierwszej stronie, pod dużym tytułem: *Pierwsi - spółdzielcy ze Złockiego* zamieszczono m.in. przemówienie przewodniczącego Spółdzielni, Lubiaka, wygłoszone w Nowym Sączu. Przytaczam je, jako charakterystyczne dla tamtych, „produkcyjnych” lat PRL: *Kochani bracia robotnicy! Spółdzielcy ze Złockiego przywożą wam dziś swe pierwsze ziarno z tegorocznych zbiorów. Wkrótce przywieziemy więcej. Ziarno jest naszym*

*wkładem w umocnienie sojuszu robotniczo-chłopskiego. Wy w miastach, w przemyśle,*

*my na roli pracujemy wspólnie nad zbudowaniem szczęśliwej przyszłości.* Przemówienie to powitano okrzykami: *Niech żyją Spółdzielcy ze Złockiego!* W Nowym Sączu wtedy nie byłem, ale wcześniej wykonałem reportażowe fotografie z prac na Złockiem, które stanowią dziś dokument głębokich przemian środowiska, zrobiłem też pamiątkowe zdjęcia tamtejszych spółdzielców i ich dzieci. Nie byłem jednak tak dociekliwy, aby zainteresować się dalszymi ich losami. Wiem tylko, że Spółdzielnia przetrwała jeszcze jakiś czas, a Złockie wstąpiło w zupełnie nową rolę.



Zwózka zboża do stodoły na Majerzu (fot. Adam Czarnowski, 1953 r.)

### Lata wielkich przemian

W roku 1958 zaczął się rozwijać, zatwierdzony przez nadrzędne władze, tzw. „eksperyment sądecki”. Polegał on na wykorzystaniu bogatych walorów terenu i samodzielnego rozwiązywania poczynań przez pełnych inwencji gospodarzy regionu na rzecz całego społeczeństwa. Była to w tamtych latach, po tzw. „odwilży”, pierwsza w kraju, odważna oraz nader udana inicjatywa.

W okolicach Muszyny zmieniało się początkowo powoli. Pamiętam jednak, że wkrótce można już było dojechać na Zazamcze ulicą z betonowych płyt, a wzdłuż niej prowadził wygodny chodnik. Poprawiono drogę prowadzącą na Złockie, gdzie wzniesiono wielką szkołę, której budynek nawiązywał do stylu podhalańskiego. Kapryśny potok Szczawnik został ujęty w betonowe kaskady, ale niestety utracił dawny, naturalny urok. A na niektórych podgórskich łąkach pojawiły się stada owiec.

Zasadnicze jednak zmiany nastąpiły około roku 1970. Postanowiono wykorzystać miejscowe zasoby cennych wód mineralnych i wolnego dwutlenku węgla, a także właściwości podgórskiego klimatu. Na okolicznych polach, w głąb doliny Szczawnika, zaczęły się wielkie prace budowlane. Wyrastały sanatoria związków zawodowych różnych branż: „Kolejarz”, „Metalowiec”, następnie „Alchemik”, „Wiarus” i inne. Stopniowo powstawał ośrodek klimatyczny, profilaktyczny i leczniczy, który w roku 1974 otrzymał status uzdrowiska.

Bryły budynków, z małymi wyjątkami, korzystnie adaptowano do górskiego krajobrazu. Jak na ówczesne lata zbudowano komfortowo wyposażone sanatoria z pełnym serwisem kąpieli, także borowinowych, oraz innych zabiegów. W „Kolejarzu” znalazła się też estetycznie urządzone pijalnia wody mineralnej. Doprowadzono asfaltową szosę, a z Muszyny ruszyła komunikacja autobusowa. Do Złockiego zaczęli zjeżdżać coraz liczniejsi kuracjusze, znajdując dobre warunki leczenia i wypoczynku w pięknym otoczeniu, sprzyjającym także uprawianiu turystyki, a zimą narciarstwa, co ułatwiały wyciągi. Okolica przybrała nowy charakter.

Ale ponad budynkami sanatoriów, na wzgórzu, widnieje nadal wśród drzew budynek starej cerkiewki.